

NASZA POWIEŚĆ

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 27 CZERWCA 1931 ROKU

NR. 26

ANDRZEJ STRUG

261

OSTATNI FILM EVY EVARD

Tutaj, we wrogim kraju... Pan rozumie, co chcę powiedzieć? Że tu można sobie pozwolić na opór władzy, Francja nie ma tu prawa sankcji, ani egzekutywy, a zanim dojdzie do końca wojny, wobec zwycięstwa wina będzie panu zapomniana, a w razie klęski tembardziej... Otóż to jest złudzenie. Każdej chwili karząca ręka Francji może dosięgnąć i zgnieść za nieposłuszeństwo lub zdradę naszego agenta czy oficera. Mamy na to sporo środków i sposobów, niechże kochany kapitan pamięta o tem. Do widzenia za dziesięć dni, przyjadę tak jak dzisiaj, porannym pociągiem.

Abbegglen dawno już poszedł, minęła godzina obiadowa w willi „Zyglinda”, a Claude wciąż siedział za stołem zapatrzony w małą pękatą paczuszkę, zawiniętą w żółty papier. Nie myślał o niej a patrząc nawet jej jakby nie dostrzegał, pogrążony w ciężkiej zadumie, ale od czasu do czasu ten maleńki przedmiot nastroczał mu się i wydierał go z półsennej trwania. Napomynał o czemś, drażnił. Wówczas Claude wracał do rzeczywistości i pogrążał się w zdumieniu nad tem, co się jednak stało. Mogło i to być jednym więcej przywidzeniem, gdyby nie to, że na stole leżał dowód rzeczowy i podpowiadał sennej pamięci o tem, co się właśnie stało. Żółta paczuszka była coprawda jedynym śladem, który pozostał po wiadomym wydarzeniu, ale w niej zawierała się cała jego poczwarna treść.

Co chwila ukazywał się za stołem i znikał zło-wrogi gość, jego pan i władca, pełnomocnik dalekiej ojczyzny. Claude nie zaprzętał sobie głowy koszmarnej zjawą ani jej rozkazami i pogrozkami, jakby cała ta wizyta nie dotyczyła go bezpośrednio i nie mogła mieć żadnych następstw. Była ona tylko powodem do rozważań abstrakcyjnych, które nabrały nadspodziewanie niezmiernie wagi. Dość powiedzieć, że nie mógł się od nich oderwać, choć czekała nań Rita...

Uczepiła go się wizja udręczonego świata. Poco, naco te cierpienia i zbrodnie? Kto pchnął ludzkość w gorejącą przepaść, w krater wulkanu? Kto oszalał — Bóg czy ludzie?! Jak długo to będzie trwać? Co z tego wyniknie?

Pytania nawałały wybuchały i rozpryskiwały się w pustej głowie. Jedyną odpowiedzią była niewiarogodna oczywistość kataklizmu.

Od początku wojny Claude nie odczuwał nic podobnego nawet w najcięższych swoich momentach. W okopach nie miał na to czasu, w szpitalu zbyt dře-

czył go ból, a ostatnich kilka miesięcy swojej misji spędził jakby poza wojną, odpoczywał po niej i znowu nie zaprzętał sobie głowy jej zagadnieniami, a choć codziennie czytywał komunikaty z placu boju i wiedział, że sam pracuje dla wojny, było to jakieś dalekie, nieistotne. Zresztą, o czem tu było myśleć? Sprawa przedstawiała się prosto i jasno — była wojna i tyle.

Teraz ta krótka formuła rozrastała się w oczach, rozgałęziała się w olbrzymie drzewo, które już zakryło słońce, niebo, rzucało czarny cień na cały świat. W pomroce uwijały się szybkie sny, a w nich powtarzały się jego zapomniane myśli i niezliczone epizody przeżyć — za całe cztery lata. Wszystko to czekało na swoją chwilę i zwały się na niego odrazu. Jak ogarnięty zamiecią śnieżną, stracił z oczu świat, a w każdym płatk śniegu przemykała jakaś drobina jego samego, zapomnianego, którym jednak był kiedyś bodaj przez jedną chwilę. Szybko przeleciała zamieć. Claude ocknął się jak z mimowiedniego zaśnienienia i pierwsze, co ujrzał, był to wciąż jeszcze ten sam żółty pakiecik. Wparł weń oczy z nienawiścią, jak gdyby w nim to streściła się cała ohyda zjawiska wojny. Gdy go wziął do ręki, zdumiał go jego ciężar. Niepojęta była waga gatunkowa substancji, którą zawierał, nieznana, niedopuszczalna w nauce. Czyż w niej to zacieżyła wojna?..

Tak mu się przywidziało.

Gdy wszedł na most, wyjął z kieszeni swoją paczkę i cisnął ją z zamachem. Spadła i popłynęła z prądem. Roześmiał się bezwiednie, widząc, że niezmierny w swym symbolu ciężar wojny płynie, oddala się i uparcie nie chce zatonać. Śledził za nikłym żółciejącym punkcikiem, dopóki mu nie znikł z oczu. Pozbył się kłopotu.

Na nadbrzeżu wczorajsze paki kasztanów rozwarły się nocą i wypuściły jasno zielone włochate łapki młodzieńczych listeczków, zawiązki białego kwiatu rozpierały się, potężnie prac ku słońcu. Wzdłuż domów po ogródkach krzewy obrosły już bujną pachnącą zielenią. Urok wiosny, dopiero dziś poraz pierwszy postrzeżony, wzruszył go swoją łaskawością, jakby usłyszał dobre słowo na powitanie od bliskiego człowieka, który długo, długo gdzieś przebywał, ale wrócił nareszcie i przynosi dobre nowiny... Ocknęła się w nim nadzieja, ufny, śmiały rzut oka w jutro, w to jutro, od którego dawno, dawno i jeszcze przed chwilą nie oczekiwał niczego. Dostrzegł, że istnieje, może czeka go jeszcze długie ży-

cie, cóż, że się zabłąkał ze swoją dolą — to minie... Gotów był rozpocząć nowy byt, poczuł w sobie siły i ochotę i ciekawość ku nieznannej swojej przyszłości. Któż mu powie, jak rozwiąże się węzeł, na który zacisnął się jego los? Ku czemu zmierza jego fantastyczny żywot? Czyż może dążyć do czegoś, snuć plany, rządzić sobą człowiek, pozostający we władzy wojny? Ale w tem samem jarzmie dręczy się jego naród i cała Europa, setki milionów ludzi — a świat nie może przecie zaginać, minie wojna i jak ta nowa wiosna odrodzi się ludzkość, jej prawo do życia i jej dostojność. Trzeba przeczekać.

Z ogrodu willi „Zyglinda“ przewieszały się na ulicę przez parkan pędy krzewów, okryte blado różowym kwieciem, a pod ścianą domu bezlistna magnolja rozpościerała się jak wieloramienny świecznik i świeciła śnieżną bielą wielkich pąków. Claude stanął oczarowany niespodzianką; bywał tu codziennie, a nie wiedział o istnieniu w starym domu Wagerów tak wspaniałego drzewa. — Ta magnolja — to ona, tajemnicza, przezzysta i taka zimna...

Z pierwszego piętra przez otwarte okno uderzył akord. Claude drgnął, jakby wywołano jego imię. Gdy wszedł i zamknął za sobą furtkę, odgrodził się od całej prawdy świata, odciął się od wojny. Zostały daleko poza nim zdarzenia tego dnia.

Śmieszny gość... Rozkazy, pogroźki... Żółta paczka płynie sobie Renem...

Dziwaczny sen...

— — — — —
Już po raz trzeci stukał ostrożnie stojąc przed drzwiami, nikt mu nie odpowiadał. Stał i słuchał. Uderzały akordy w nierównych odstępach czasu, rzadziej, częściej i rozplątywały się w ciszy. Były niespodziane, bądź harmonijne, bądź drażniące w rozmyślnem skłóceniu tonów. Krótsze, dłuższe. Momenty ciszy między niemi zdawały się zawierać całą istotę tej muzyki. Było to niesamowite, dręczące ponurością i smutkiem. Za temi zamkniętymi drzwiami dopełniało się dzieło obłędu, nigdy jeszcze tak nie grała Rita... Claude nie mógł tego znieść dłużej, nacisnął kłamkę. Rita siedziała twarzą ku drzwiom i spostrzegła go odrazu. Odjęła ręce od klawiatury, spojrziała ku niemu jak wyrwana z innego świata, palcem nakazując ciszę. Przymknęła oczy i wróciła do swojej muzyki. Długo szukała akordu, pocierała czoło, zaciskała mocno powieki, jej ręce błąkały się po klawiszach, znać było, że się męczy.

— Pani Rito, niech pani przestanie. To, co pani gra, jest straszne, stałem pode drzwiami... To było przerażające, niech się pani nie dręczy...

Odjął jej ręce od klawiatury, były posłuszne, bezwładne. Spojrzała nań z rozdzierającym smutkiem.

— Grałam o mojem nowem nieszczęściu, pan wie, co się stało? Niema go tam. Ani w Szkocji, ani nigdzie w całej Anglii, co gorsza nieznany jest i w obozach we Francji, bo i tam pisałam, wszak mógł go równie dobrze wyratować statek francuski... Wrócono mi listy ze strasznymi oficjalnemi dopiskami. Po co ja nieszczęsna pisałam? Panie Helm, gdzież on, na Boga, może być? Boję się, boję się...

Czepiała się jego ręk, tuliła się do niego. Opowiadał jej o zawikłanej organizacji centrali dla jeńców, o ustawicznych błędach w ewidencji, przytaczał

wypadki i przykłady, skłamane na poczekaniu, i mimowoli przesunął ręką po jej głowie, pocieszał ją, jak splakane dziecko. Dotknięcie jej włosów sprawiało mu niewysłowioną świętokradczą rozkosz. Zdawało mu się, że w tej chwili przebył niezgłębianą przepaść dzielącą go od niej.

Rozwiał się dawny, święty urok Rity, ogarniał go nowy czar, uwielbienie rozkoszne i śmiertelnie beznadziejne. Już przemknęło się w szaleńczej wizji to, co jeszcze nigdy nie powstało mu w głowie, i wiedział, że już nie odejdzie z myśli. Zostanie między nimi jak było, nigdy Rita nie usłyszy jego wyznań, błagań, a mimo to wszystko się między nimi odmieni. Radość mieszała się z udręką. Rita będzie jego tajemnym skarbem, zakopanym w duszy, i cokolwiek się stanie do końca życia, ona będzie osią jego istnienia. Pochylił się nad jej głową i lekko, niedostrzegalnie dotknął ustami włosów. Posępnie rdzawe i promiennie-jasne słoneczne powikłane nici i pasemka musnęły jego twarz pieczęcią — łaską. Nie pytał, czy o tem wiedziała.

Rita odjęła mu ręce i odsunęła się od niego, odstąpił o krok. Ujrzał oczy, utkwione w sobie, pytające, zakłopotane.

— Czy pan wierzy w te listy?

Był stropiony, już wiedział, o co pyta — jakże jej odpowiedzieć... Rozpoczął zawiłe, usiłując skierować jej uwagę na zagadnienie o niedostateczności faktów. Fakt lub jego nieobecność nie rozstrzygają jeszcze o istotnej prawdzie w świecie odczuć... Myśl, zachcenie same w sobie mogą przeważać nad niepoznaną jeszcze rzeczywistością i są czasami samowystarczalne... Nieraz czysta fikcja dopomaga rodzić się faktom, ona je poprzedza... Intuicja, władza tajemna...

Zapłatał się i umilkł.

— To dla mnie za mądre, nic nie rozumiem. Po co mnie pan oszczędza? Ze mną też można czasami mówić poważnie, o, nie zawsze, nawet niezbyt często... Wyznam panu wręcz, że cały ten obóz jeńców w Szkocji, gdzie ma przebywać Fell... Prostu przywidziało mi się wszystko od początku do końca. Znowu zwiódł mnie przeróżne okoliczności, szczegóły, tak wyraźnie widziałam te rzeczy... Mogłabym opowiedzieć jednym ciągiem wszystkie koleje i przygody, które doprowadziły Fella od topieli morza pod Dogger Bank aż do rzekomego obozu jeńców w północnej Szkocji... Cóż, szczegóły są zawsze najłatwiejsze, wyobraźnia jest niewyczerpana, ale główna rzecz — czy on się uratował — pozostaje ciemną, jak noc, w której nic nie widać... Byłam w rozterce, nie mogłam sobie dać rady w osamotnieniu i wzięłam pana za współnika wielkiej tajemnicy. Znowu śmieszna fikcja, bo czyż przez to, że się komuś powierzy swoje urojenie, ono staje się czemś innem? I dziś nawet chcąc się wyplątać z tych kłamstw zabrnęłam znowu... Nie zwrócono mi żadnych listów, bo ich zupełnie nie wysłałam, napisałam ale bałam się zaufać strasznej rzeczywistości, której nie znam. Lepiej nie kusić prawdy, niech zostanie jak było... Zato wysłałam naprawdę list do Freda. Fred Hasshagen, pan pamięta? To przyjaciel męża, jego zastępca na U. C. 17, ten napewno odpisze... Jeżeli wogóle żyje... Ten Fred nie jest zbyt poważnym człowiekiem, ale zato zuch! Trudno mi przypuścić, żeby taki jak on mógł zginać, jak każdy inny... Zobaczymy. Panie Helm...

(D. c. n.).